Jacek Getner

LiRA
WYDAWNICTWO

Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

ARSZENIK i STARE OBRAZY

Przypadek chodzi po ludziach...

ARSZENIK i STARE OBRAZY

Jacek Getner

ARSZENIK i STARE OBRAZY

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-66966-07-9

Rozdział I
Arszenik i stare obrazy

Antykwariat należący do Antoniego Gelberga był miejscem cichym i spokojnym. Nie znajdował się przy głównych szlakach handlowych, nie przewijały się przez niego tłumy. Ale ci, którzy znali jego gospodarza lepiej, wiedzieli, że często dysponował on wyjątkowo atrakcyjnym towarem. Ci, którzy znali pana Antoniego naprawdę dobrze, woleli nie pytać, skąd ten towar pochodzi. Bo też i po co komu taka wiedza, z której potem trzeba by się było tłumaczyć na komisariacie?

Tę samą zasadę wyznawała rudowłosa Helena, studentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dorabiająca w antykwariacie do skromnego stypendium. Dlatego kiedy dzwonił telefon na biurku jej szefa, zakładała na uszy słuchawki i puszczała głośno muzykę ze swojego ipoda. Wprawdzie większość rozmów prowadzonych przez pana Antoniego dotyczyła spraw absolutnie zgodnych z prawem, jednak niektórymi z pewnością chętnie zajęłyby się organy ścigania. I z tego powodu rudowłosa pracownica antykwariatu wolała słyszeć jak najmniej.

Tym razem terkot telefonu dopadł Helenę, gdy w jednej z gablot poprawiała ustawienie kilku waz z bardzo szacownej epoki. Szybko nałożyła na uszy swoją dźwiękochłonną barierę i błyskawicznie zaczęła przeszukiwać pamięć ipoda w poszukiwaniu odpowiedniego repertuaru. Gelberg, siedzący w kąciku antykwariatu przy swoim biurku, z uśmiechem obserwował tę czynność. Z odebraniem telefonu jednak poczekał jak zwykle do chwili, gdy ze słuchawek popłynęły pierwsze takty wyjątkowo głośnej muzyki, która byłaby w stanie nie tylko zagłuszyć rozmowę, ale i nawet młot pneumatyczny, gdyby akurat pracował obok.

— Gelberg, słucham… Pan Klempuch… — Twarz antykwariusza stężała. — Tak, oczywiście, pamiętam… Naprawdę bardzo staram się namówić tę Bamber na sprzedaż obrazów, ale to nie jest łatwe… Rozmawiałem o tym z jej wnukiem, Wojtkiem… Wiem, że mija mój termin… Dobrze, jakoś to załatwię.

Odłożył słuchawkę. Rudowłosa Helena zerknęła w jego stronę, ale widząc minę szefa, uznała, że na razie lepiej nie zdejmować swojej bariery dźwiękochłonnej. Gelberg tymczasem odsunął szufladę w swoim biurku. Sięgnął głęboko ręką po coś, co nie znajdowało się w niej samej, ale było schowane w skrytce pod blatem. Po chwili namacał chłodną stal metalowej obręczy, na którą nanizane było mnóstwo

pręcików różnej grubości. Pręciki były powykrzywiane w najróżniejsze kształty, dzięki czemu trudno było znaleźć zamek, który byłby w stanie się im oprzeć. Antykwariusz przez chwilę dotykał ich, jakby chcąc po omacku znaleźć ten właściwy. Nie wybrał jednak żadnego, tylko zamknął szufladę.

„Cholerna przeszłość — pomyślał. — Znów trzeba to będzie zrobić".

Stara kamienica na Starym Mokotowie mieszcząca się pod adresem Konecka 40 niejedno widziała w swojej historii. Trwała tu już bądź co bądź osiemdziesiąt lat i wiele mogła opowiedzieć o swoich lokatorach. Na szczęście zwykle zachowywała daleko posuniętą dyskrecję, dlatego wiele tajemnic pozostawało na zawsze w jej ścianach. Ta dyskrecja różniła ją szczególnie od świeżo wybudowanego sąsiada z naprzeciwka, nowoczesnego apartamentowca. Naszpikowany elektroniką, kamerami i wszelkiego rodzaju innymi rejestratorami rzeczywistości i złudzeń sprawiał, że przeciętnie uzdolniony haker mógł czytać w życiorysie jego mieszkańców jak w otwartej księdze.

Dlatego Jacek Przypadek cieszył się, że mieszka w starej kamienicy, której nie tylko grube mury, ale i zżyta społeczność skutecznie chroniły przed natrętami z zewnątrz. Również dzięki tej dyskrecji miejsce to wydawało się oazą spokoju pośród rozpędzonego

miasta nastawionego pod każdym względem na sukces i szybki rozwój. Mieszkańcy Koneckiej 40 nie spieszyli się tak bardzo i mieli dla siebie całkiem sporo czasu. A, co ciekawe, spokój ich wzrastał z każdym piętrem. Tak jakby odległość od wyjścia na gwarną ulicę dodatkowo wyciszała ludzkie wnętrza.

O każdym z mieszkańców kamienicy można byłoby powiedzieć coś ciekawego i nie można wykluczyć, że kiedyś autor to uczyni. Na razie jednak najbardziej dla nas interesujący będą lokatorzy z ostatniego, czwartego piętra, zamieszkujący lokale o numerach 12, 13, 14.

Pod dwunastką mieszkał właśnie Jacek, kawaler lat blisko trzydziestu, wykształcenie wyższe, choć mocno niepełne. Znany był wśród sąsiadów z zamiłowania do chiromancji oraz mocnego postanowienia wystartowania w maratonie. Przygotowywał się do tego już z górą sześć lat, zawzięcie szlifując formę biegową na pobliskim Polu Mokotowskim. Nigdy jednak nie udało mu się osiągnąć odpowiedniej dyspozycji, dlatego wciąż był długodystansowcem teoretykiem.

Prowadził on żywot dość niefrasobliwy, co było powodem do zmartwień jego rodziców. Szczególnie niepokoił się jego tata, pan Fryderyk Przypadek, który widział w synu spadkobiercę rodzinnych tradycji adwokackich. Matka, pani Felicja Przypadek, nie

widziała wprawdzie w byciu prawnikiem niczego szczególnie pociągającego. Za to bardzo smucił ją fakt nieuporządkowanego życia uczuciowego jej pociechy i mocno kibicowała jego narzeczonej, aby ta zaciągnęła go w końcu przed ołtarz.

Pod czternastką mieszkała pani Irmina Bamber, wdowa lat… tego autor, jako dżentelmen, wyjawić nie może. Żeby ułatwić jednak czytelnikom określenie jej wieku, powiedzmy, że jej wnuczek był trochę młodszy od Jacka, i na tym zakończmy te dywagacje. Studiowała psychologię, zdobyła nawet tytuł magistra, ale nigdy nie praktykowała w zawodzie. Za to umiejętności, które nabyła na uniwersytecie, skrzętnie wykorzystywała do sprawnego podtrzymywania kontaktów towarzyskich z wieloma osobami w mieście. Szczerze mówiąc, trudno było znaleźć kogoś naprawdę ważnego w Warszawie, kto nie znałby pani Irminy.

Najmniej można by powiedzieć o lokatorze spod trzynastki, bo…

Ale o tym później, żeby za bardzo nie uprzedzać faktów.

Tego dnia Jacek obudził się w miejscu, w którym najbardziej lubił to robić, czyli we własnym łóżku. Ziewnął i przeciągnął się. Potem przekręcił się na drugi bok, chcąc przytulić osobę, którą spodziewał

się zastać z tej strony. Następnie, zdziwiony, że jest już w łóżku sam, podniósł się i oparł na łokciach. Lustrując spojrzeniem pokój, mrużył powieki wciąż nieprzyzwyczajone do światła. Na tle okna dostrzegł pospiesznie ubierającą się młodą kobietę, która wydawała się niezadowolona z jego pobudki.

— Już lecisz? — zapytał z nutą rozczarowania w głosie.

— Trochę się spieszę do redakcji.

— Nie chcesz czegoś zjeść? — Jego głos był coraz bardziej rozżalony. — Mogę zrobić jajecznicę — zaproponował.

Kobieta spojrzała na niego odrobinę rozczarowana. Wczoraj nie wyglądał na faceta, dla którego problemem może być fakt, że to będzie tylko jednorazowe spotkanie. Ba, odniosła nawet wrażenie, że niezobowiązująca forma znajomości jest ich obopólnym pragnieniem.

— Byłeś super, ale chyba sobie nie robiłeś nadziei na coś więcej? — Dopięła ostatni guzik w swojej garsonce.

— Szczerze mówiąc, Aniu, to myślałem…

— Chyba za bardzo uwierzyłeś w te swoje wróżby z ręki. — Pogłaskała go po twarzy i pocałowała pożegnalnie w policzek.

— Czyli już więcej się nie zobaczymy? — zapytał z miną zbitego psa.

— Warszawa to bardzo małe miasto. — Popatrzyła na niego z litością. — Zawsze gdzieś możemy na siebie wpaść — powiedziały jej usta, za to oczy dodały: „ale nie liczyłabym na to".

— Ale…

— Naprawdę się spieszę.

Jacek otworzył szufladę swojej nocnej szafki i wyjął jedną z leżących na wierzchu wizytówek. Wręczył ją Ani.

— Gdybyś zmieniła zdanie, to zadzwoń.

„Boże, co za irytujący gość! — pomyślała. — A Malwina mówiła… Nieważne, nie ma co sobie nim głowy zawracać. Grunt, że wygrałam zakład. Jak zwykle!"

Ania niechętnie wzięła wizytówkę i nie zaszczyciwszy już jej właściciela nawet spojrzeniem, wyszła. Jacek poczłapał za nią do drzwi i przekręcił w nich zasuwę. Gdy został sam, westchnął z żalem:

— Boże, jacy ludzie są banalnie przewidywalni.

A potem uśmiechnął się radośnie i poszedł do kuchni, żeby zrobić jajecznicę tak, jak najbardziej lubił.

Dla samego siebie.

W chwili gdy za drzwiami mieszkania należącego do Jacka Przypadka rozpoczynały się przygotowania do śniadania, do kamienicy przy ulicy Koneckiej 40

wchodził pan Antoni Gelberg. W lewej ręce miał stylową, zabytkową laskę, drugą przytrzymywał dużą kreślarską tubę przewieszoną przez prawe ramię. W drzwiach minął się z atrakcyjną kobietą, która podarła właśnie czyjąś wizytówkę, a jej resztki rzuciła niedbale na chodnik. Gdy był już na klatce, tuż przed schodami, zatrzymał się na chwilę i sapnął ciężko.

Wyprawa na czwarte piętro mogła mu się wydawać pewnym wyzwaniem, bo dobiegał sześćdziesiątki. Ale laska w jego ręku była jedynie kamuflażem. Miała tylko dodawać wiarygodności temu, że zatrzymuje się na każdym półpiętrze, sapiąc kilka razy na znak, jak bardzo się zmęczył. Ten postój służył jednak głównie dokładnemu rozejrzeniu się wkoło i sprawdzeniu, czy nikt go nie widzi.

Kiedy był już w połowie między trzecim a czwartym piętrem, z mieszkania numer trzynaście, znajdującego się na wprost schodów, wyszedł jego nowy właściciel. Był to pan Roman Bączek ubrany w pochlapany farbą strój budowlańca. Jego widok na moment stropił antykwariusza. Gdyby był na jednym z niższych pięter, mógłby po prostu ominąć lokatora spod trzynastki i pójść spokojnie do góry. Ale w tej sytuacji było to niemożliwe. Dlatego musiał wymyślić błyskawicznie coś innego. Z pomocą przyszedł mu jego niesforny but, który miał skłonność do rozwiązywania się i w tej chwili był również

bliski tego stanu. Pan Antoni schylił się, rozwiązał do końca sznurówkę, a następnie starannie zaczął ją zawiązywać.

Pan Bączek również wydawał się być nieco zaskoczony widokiem antykwariusza. Był jednak nowym lokatorem, dlatego nie miał pojęcia, czy ten starszy jegomość nie przyszedł w odwiedziny do kogoś z jego sąsiadów. Postanowił zatem go zignorować. Spokojnie zamknął drzwi i ruszył na dół. Minął Gelberga dość obojętnie i po chwili był już piętro niżej.

Antykwariusz odczekał jeszcze moment, układając symetrycznie na bucie zawiązane sznurowadła. Dopiero gdy osiągnęły one perfekcyjny stan, wyprostował się i rzucił spojrzenie w dół schodów, sprawdzając, czy pan Bączek oddalił się dostatecznie. Następnie wszedł na czwarte piętro i stanął przed drzwiami mieszkania pani Irminy Bamber. Drzwi te wyglądały najsolidniej ze wszystkich na piętrze, a na dodatek były zaopatrzone w dużą liczbę zamków. Zapukał do nich energicznie. Wciąż jednak bardziej interesował się tym, czy nikt go nie widzi, niż faktem, czy ktoś mu za chwilę otworzy. Kiedy się upewnił, że żadna para oczu go nie obserwuje, sięgnął do kieszeni po komplet wytrychów i po krótkim namyśle włożył jeden z nich do zamka w drzwiach. Spróbował go przekręcić, jednak bez powodzenia. Wtedy

chwycił za klamkę, by poruszyć odrobinę drzwiami i w ten sposób ułatwić pracę wytrycha. Jednak, ku jego zdziwieniu, drzwi otworzyły się całkowicie, zapraszając do wejścia.

„Czyżby zapomniała je zamknąć?" — zdziwił się. Jeszcze raz upewnił się, że nikt go nie widzi, i wszedł do mieszkania pani Irminy Bamber.

Myliłby się ten, kto by pomyślał, że Jacek jest słabym kucharzem i dlatego na śniadanie serwował pospolitą jajecznicę. Przypadek gotował świetnie, wszystkie jego znajome jedzące u niego kolację z uznaniem wypowiadały się o jego kulinarnych możliwościach. Tylko że Jacek zawsze hołdował najprostszym rozwiązaniom. A dla samego siebie szkoda mu było czasu na robienie czegoś bardziej wyszukanego.

Radosny jak szczygiełek wszedł do kuchni, ale zanim otworzył lodówkę, by wydobyć z niej jajka, sięgnął na jedną z półek. Nim chwycił położone tam na płask zdjęcie w ramce, przyjrzał się uważnie, pod jakim kątem leżało. Uśmiechnął się. Nie mogło być wątpliwości — ktoś w nocy poruszył fotografią. Właściwie mógł się tego spodziewać. Przecież wiedział, że Ania jest dziennikarką śledczą.

Ustawił zdjęcie na stole, gdzie zwykle spożywał domowe posiłki. Na fotografii była uśmiechnięta dwudziestokilkulatka ubrana w ciepłą puchową

kurtkę. Za nią, w tle, majaczyły wielkie góry okolone błękitnym niebem.

— Widzisz, Baśka, znów musimy jeść we dwoje. Te kobiety…

Baśka, jak zawsze, odwzajemniła jego uśmiech i spokojnie przyglądała się, jak przyrządza jajecznicę, czekając na kolejny wspólny posiłek. Jednak tym razem nie dane im było w spokoju spożyć śniadania. Ledwie tylko Jacek włożył pierwszy kęs do ust, zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz i ciężko westchnął. „Czego on może ode mnie znowu chcieć?" — pomyślał z niechęcią. Odebrał jednak.

— Cześć, tato… No dobrze, przybiegnę do ciebie… Jak tylko zjem śniadanie.

Jacek rozłączył się i odłożył komórkę. Spojrzał na zdjęcie i zapytał:

— Za co ty go lubiłaś, Baśka? Jest aroganckim, pewnym siebie i zarozumiałym bufonem. Jeśli dziś będzie chciał ze mną rozmawiać o tym co zwykle, to mu się postaram wybić to ostatecznie z głowy. I nie patrz tak na mnie, bo mi śniadanie nie będzie smakować.

Kiedy talerz po jajecznicy wylądował w zlewie, pod kamienicę na ulicy Koneckiej 40 zajechała taksówka. Jej kierowca zerknął na taksometr i powiedział do pasażerki:

— Dwadzieścia pięć złotych.

Pani Irmina sięgnęła do torebki i wyjęła portmonetkę. Chwilę w niej grzebała, w końcu podała taksówkarzowi trzydzieści złotych.

— Proszę i dziękuję.

Zadowolony kierowca schował zapłatę okraszoną napiwkiem, wysiadł i otworzył bagażnik. Pani Irmina stanęła obok, czekając, aż wyjmie jej walizki. Ta chwila jednak nie następowała, a taryfiarz stał z niewzruszoną miną.

— Może by mi pan pomógł to wnieść na czwarte piętro? Tu nie ma windy.

— Niestety, proszę pani, lekarz zabronił mi dźwigać ciężary.

— No tak, a ja wygrałam plecy na loterii — mruknęła pod nosem pani Irmina i chwyciła swoje bagaże.

— Jak pani chce, to mogę pani drzwi przytrzymać.

Pani Irmina najchętniej odburknęłaby coś niemiłego, ale powstrzymała się, bo przy targaniu dwóch walizek nawet otwarcie drzwi na coś się mogło przydać. Kiwnęła więc przyzwalająco głową. Taksówkarz podszedł do ogromnych drzwi z nieprzezroczystego szkła. Szarpnął za klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły.

— Zamknięte są — poinformował swoją klientkę, która postawiła walizki i sięgnęła do torebki po klucze.

Wysiłek ten okazał się jednak zbędny, bo drzwi otworzyły się z impetem i wypadł z nich pan Antoni Gelberg. Normalnie nie miałby pewnie problemów z utrzymaniem się na nogach, ale taksówkarz wciąż ciągnął za klamkę z drugiej strony. Dlatego antykwariusz opuścił kamienicę o wiele szybciej, niżby sobie tego życzył. Laska wypadła mu z lewej ręki i gdyby nie tuba kreślarska, która zamortyzowała jego upadek, mógł sobie zrobić krzywdę. I tak jednak padł jak długi u stóp pani Irminy, wywołując jej przerażenie.

— Mógłby pan uważać!

— Proszę mi wybaczyć. — Gelberg podniósł się z przepraszającym uśmiechem, który zamarł na jego twarzy, gdy zobaczył, przed kim stoi. Szybko schylił się po laskę i poprawił na ramieniu tubę, jakby bojąc się, że zaraz ktoś mu ją odbierze.

— Co pan tu robi? — Pani Irmina była równie zdziwiona jak antykwariusz. — Przecież wyraźnie panu powiedziałam, że nie sprzedam moich obrazów!

— Tak, tak, oczywiście.

Gelberg z błyskiem przerażenia w oczach ukłonił się nisko i ruszył w stronę Rakowieckiej. Początkowo usiłował udawać, że tak naprawdę się nigdzie nie spieszy i dreptał małymi kroczkami. Potem zaczął przebierać nóżkami odrobinę szybciej. A kiedy

obejrzał się za siebie i zobaczył, że pani Irmina i taksówkarz ciągle na niego patrzą, puścił się pędem, potrącając na rogu ulicy jakiegoś przechodnia.

— Wariat jakiś? — wyraził przypuszczenie taryfiarz.

— Nie, antykwariusz.

— No to blisko byłem.

Widać było w tej chwili, że od strony teoretycznej Jacek jest naprawdę świetnie przygotowany do przebiegnięcia maratonu. Znakomite buty najlepszej firmy, precyzyjny stoper używany przez profesjonalistów i T-shirt, idealnie wchłaniający pot, sprawiały, że wyglądał w tym momencie, jakby miał za kilka sekund wystartować do biegu. I pewnie by to zrobił, gdyby na pierwszym piętrze nie spotkał swojej sąsiadki.

— Dzień dobry, pani Irmino. Miała pani wrócić w sobotę.

Chciał schylić się po postawione przez sąsiadkę walizki, ale zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz, uśmiechnął się, lecz nie odebrał.

— Znudziło mi się na tej wsi. Możesz odebrać, ja poczekam.

— To tylko Błażej. — Chwycił bagaże i ruszyli na górę.

— Ten erotoman gawędziarz?

— Przesadza pani. Na panią po prostu nie działa jego zwierzęcy magnetyzm.

— Nie znam takiej, na którą działa. — Uśmiechnęła się ironicznie. — Bezwarunkowo nie znam — podkreśliła swoje zdanie przy użyciu ulubionego zwrotu. — Ten Bączek skończył remont?

— Od dwóch dni cisza. Coś tam jeszcze chyba robi, ale już po cichu.

— No to chwała Bogu. Jak się wtedy do mnie przebił przez ścianę, to myślałam, że umrę ze strachu.

— Dobrze, że błyskawicznie ją załatał.

— Ale i tak musiałam wyjechać, żeby się choć trochę uspokoić. — Doszli na czwarte piętro i Jacek postawił walizki przed drzwiami starszej pani. — A do ciebie nikt się nie wprowadził w międzyczasie?

— Ja odstraszam kobiety.

— Co ty za głupstwa opowiadasz?!

— Słowo honoru. Ostatnia uciekała ode mnie tak szybko, że nawet jej śniadania nie zdążyłem zrobić.

— Marzena chętnie by zjadła wspólne śniadanie.

— Muszę lecieć, tata na mnie czeka. — Jacek wiedział, że w dyskusji na temat Marzeny jest na straconej pozycji, dlatego postanowił jej nie kontynuować. Zanim sąsiadka zdążyła zareagować, był już piętro niżej.

Starsza pani pokręciła głową z odrobiną dezaprobaty. Bardzo lubiła tego pędziwiatra, jego niestały

charakter, który nie przeszkadzał mu podkreślać konserwatywnych poglądów. Lubiła nawet to, że zmieniał znajome w błyskawicznym tempie. Gdy je czasem widziała, stwierdzała, że z całą pewnością nie zasługiwały na więcej niż chwila zainteresowania. Ale nie miałaby nic przeciwko temu, żeby po drugiej stronie korytarza pojawił się jakiś maluch, którym mogłaby się czasem zająć i znów poczuć się babcią.

Westchnęła i włożyła klucz do zamka. Ku jej zdziwieniu nie chciał się przekręcić we właściwą stronę. Chwyciła za klamkę, żeby spróbować ponownie. Drzwi jednak ustąpiły, wywołując u niej zdziwienie nie mniejsze niż u Gelberga.

„Chyba Wojtuś nie zapomniał zamknąć?" — pomyślała z niepokojem. Szybko weszła do środka, zostawiając walizki przed drzwiami.

Po kilkunastu sekundach wybiegła na zewnątrz, z trudem łapiąc powietrze. Chciała coś krzyknąć, ale nie była w stanie. Jedyne, co wydobyło się z jej ust, to krótkie i ciche:

— O Boże…

W swoim gabinecie, urządzonym gustownie z nutką retro, siedział Młody Bóg Seksu. Wprawdzie miał tylko metr sześćdziesiąt w kapeluszu, na nosie śmieszne okularki i był raczej mizernej postury, ale to nie przeszkadzało w niczym jego świetnemu samopoczuciu.

Bo temu nic w kosmosie nie było w stanie zaszkodzić. Dlatego Młody Bóg Seksu, który aktualnie urzędował w kancelarii adwokackiej „Sakowicz & Sakowicz", był jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

— Życie jest piękne. A najpiękniejsze w nim są kobiety. — Zwykł mawiać i dodawał: — Zaś w nich najcudowniejsze jest to, że tak się im podobam. Uwielbiam je za to.

W tej chwili przeciągnął się w swoim fotelu i podniósł słuchawkę telefonu. Wystukał szybko numer na klawiaturze i czekał przez chwilę na połączenie.

— Jacek? No cześć, stary, Błażej mówi. Czemu nie odbierasz? A rozumiem, trenujesz do maratonu. — Uśmiechnął się ironicznie. — Może wpadniesz wieczorem do Zakrapialni? Mam przeczucie, że dzisiaj coś na pewno wyrwę. A wiesz, mnie takie przeczucia nigdy nie mylą. Chcesz się założyć? — Uśmiechnął się z dużą dozą pewności siebie, której miał zawsze w nadmiarze. Chciał coś jeszcze dorzucić, ale w tej chwili weszła do jego pokoju sekretarka.— Poczekaj chwilę — rzucił do słuchawki i zakrył ją ręką. — Tak?

— Dzwoni pan Klempuch w sprawie tego Bambera.

— Zaraz odbiorę. — Sekretarka znikła za drzwiami. — Muszę kończyć, mam drugi telefon. To co, do zobaczenia o dziewiątej?